

„Myślę, że literatura wiele zawdzięcza ziemi”

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2020.028>

Wywiad z Jean-Marie Gustave Le Clézio
przeprowadzony z 18 września 2016 roku w Nankinie w Chinach
w języku francuskim przez Lu Zhang*
Tłumaczenie: Natalia Nielipowicz**



Jean-Marie Gustave Le Clézio w kawiarni uniwersyteckiej w Nankinie
(z archiwum prywatnego Lu Zhang)

* Adiunkt na Uniwersytecie Nankińskim, Chiny. Zainteresowania naukowe: tłumaczenie, współczesna literatura francuska i frankofońska.

E-mail: zhanglu83@hotmail.com | ORCID: 0000-0001-9903-8364.

** Adiunkt w Katedrze Literaturoznawczej Filologii Romańskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jej zainteresowania naukowe oscylują głównie wokół korespondencji sztuk plastycznych i literatury oraz ekologicznego wymiaru twórczości J.M.G. Le Clézio.

E-mail: nataniel@umk.pl | ORCID: 0000-0002-0346-4412.

Nielatwo jest wyobrazić sobie ogród w mieszkaniu. Jednak jeszcze trudniej jest wyobrazić sobie mieszkanie zamienione w ogród. Dzięki oknom w dachu ostatnie piętro, na którym mieszkają państwo Le Clézio jest przesycone słońcem. Każdy wpadający tu promyk sprzyja rozwojowi roślin: orchidei, Anturium Andrego, Kalanchoe thyrsoflory, Kalanchoe Blossfelda, pelargonii, żonkili, hiacyntów, łubinu. Wiele z nich pani domu przywozła z różnych części świata: z Ameryki Południowej, Mauritiusa, Chin, Afryki... Ogród Jemii¹, cierpliwie tworzony w rytm kolejnych podróży, zdaje się łączyć najdalsze zakątki naszej planety.

Lu Zhang: Czy ogród wydaje się panu niezbędnym środkiem do zamieszkiwania w przestrzeni miejskiej? Innymi słowy, czy obecność roślin wydaje się panu niezbędną do życia w mieście, w pana mieszkaniu? Jaką przestrzeń stanowi w pana oczach ogród? Czy jest może miejscem wytchnienia i ucieczki, miejscem inspiracji?

J.M.G. Le Clézio: Tak, to miejsce wytchnienia. Nie posiadam ogrodu poza tym, który pani widziała w Paryżu, znajdującym się w mieszkaniu Jemii. Tam w ogóle nie jest on miejscem wytchnienia, ponieważ jest za mały. Ale dla mnie stanowi rodzaj towarzystwa. Zawsze myślę o roślinach jak o innych żyjących istotach. Wierzę, że jesteśmy stworzeni z tej samej materii. Myślę, że jesteśmy bardzo bliscy roślinności, o wiele bardziej bliscy niż się na ogół uważa. Posiadać rośliny w miejscu, gdzie się mieszka, to jak posiadać towarzystwo. To nawet więcej niż przyjemne. Rośliny mają pewien udział w moim życiu. Są jak milczący świadkowie, powiernicy, jak stare opiekuńcze byty. Bo rośliny często są bardzo stare, starsze niż istoty ludzkie. Są ciche. Jest w nich ta kombinacja dobroczynnych czynników, tych, które czegoś nauczają, które czegoś uczą. Niewiele wiem o botanice, ale dzięki Jemii, i trochę dzięki pani odkrywam wielką różnorodność roślin. Zwłaszcza tych, które są skromne, które nie są wielkimi drzewami czy roślinami użytkowymi, które nie zawsze są choćby nawet roślinami dekoracyjnymi, bo nie produkują wielu kwiatów. Ale posiadają bardzo silną osobowość. To, co zadziwia u roślin, przypomina trochę to, co zadziwia również u zwierząt. To fakt, że z pokolenia na pokolenie odtwarzają te same rysunki, kształty, liście, te same owoce czy nawet kwiaty. Jest w tym jakiś rodzaj bardzo starej ciągłości, ponieważ wierzę, że zróżnicowały się miliony lat temu i pozostają wierne jakiemuś swojemu obrazowi. Dlatego więc dla mnie to nie tylko miejsce wytchnienia. Trochę też. Ale przede wszystkim towarzystwo intelektualne, prawie filozoficzne. Pozwala mi odzyskać równowagę. Sprawia, że chce mi się zastanowić, nie spieszyć, zwolnić.

Bardzo podoba mi się sposób, w jaki Jemia do tego podchodzi. Rośliny znajdują się właściwie wszędzie. Nie ma miejsc z roślinami i miejsc, gdzie by ich nie było. Są wszędzie. Jak tylko pojawia się jakaś wolna przestrzeń, tam, gdzie inni postawiliby jakieś bibeloty, rzeźby lub dzieła sztuki, ona stawia rośliny. Myślę, że to bardzo dobry pomysł. Ponieważ to prawda, że są dekoracyjne. Rośliny mają w sobie wielką świeżość, spontaniczność. Są żywe. Zmieniają się dzień po dniu. Nie są ciągle takie same. A fakt, że znajdują się wszędzie, nie tylko w jednym miejscu, sprawia, że odczuwam równowagę pomiędzy tym, co ludzkie, a tym, co roślinne.

¹ Jemia jest żoną pisarza (przypis tłumacza).

W swoich utworach często łączy pan przyrodę i przestrzeń miejską. W *Protokole*, *La Fièvre*, *Le Déluge*, *L'Extase matérielle*, *Le livre des fuites*, *Wojnie* i *Les Géants*, ale również w utworach niedawno wydanych, jak *Bonheur w Histoire du pied*, opisuje pan przyrodę wyalienowaną i zdominowaną w przestrzeni miejskiej: uschnięte w doniczce pelargonie z plamami na liściach, morza błotniste lub zanieczyszczone olejem, zgniłą wodę, ciemne od sadzy niebo i kolor rdzy itp. [...]. Wobec różnorodności i obfitości przedmiotów sztucznych, uderza rzadka obecność i ubóstwo żywiołów przyrody. Te ostatnie zostają sklasyfikowane, wyselekcjonowane, zmienione, ustanowione czy wręcz wyprodukowane według ludzkich zasad. Jednak w innych pana utworach przyroda i miasto są w stanie współistnieć: na przykład w *Mondo*, ogród Thi Chin chroni naturę pozostawiając ją nietkniętą ręką człowieka i wydaje się, że ukazuje to, co w zwyczajowej przestrzeni miejskiej jest niewidoczne, czyli pająki, muchy, pszczoły, dziury po owadach, tymianek, mlecz, akanty, wawrzyny, araukaria, dzikie koty, kamienie, światło na liściach, które dominują nad przestrzenią i nie duszą się pod betonem. Czy w szczególności interesuje pana roślinność w mieście? Czy zgodziłby się pan, że to zainteresowanie zmieniało się z biegiem czasu i że owa ewolucja widoczna jest w pana dziełach?

Tak, zmieniało się, ponieważ kiedy byłem dzieckiem, pisałem wiele powieści na temat przyrody. Pamiętam, że napisałem powieść, która nosiła tytuł *Le sycamore* (dosł. sykomora, jawor). Sądzę, że drzewo to pochodzi z Australii. Bardzo podobała mi się jego nazwa. Ale znalazłem również trochę informacji na jego temat, był ważnym bohaterem powiastki... Sykomora była tam zawsze. Ludzie przechodzili, przychodzili i zmieniali się. A ona ciągle tkwiła niczym świadek. Pamiętam tę powieść. Gdy byłem dzieckiem, silnie odczuwałem potrzebę posiadania ogrodu, kontaktu z przyrodą. Tym większą być może, że dorastałem podczas wojny, w czasach, gdy nie mieliśmy wiele możliwości, aby wychodzić z domu. Mieszkałem w kamienicy na szóstym piętrze. Mieszkanie należało do babci. Mój tata był w Afryce. Z mamą, babcią i bratem gnieździliśmy się w mieszkaniu, które było chyba mniejsze niż ten pokój. Nigdy nie wychodziliśmy, aż pewnego dnia brat powiedział: „Chodź, wyjdziemy” i wyszliśmy pospacerować na dachu. Kiedy zacząłem pisać, to w każdym współczesnym mieście, w którym mieszkałem – czy to w Nicei, czy nawet w Paryżu lub w Londynie – niepokoił mnie brak natury. Wyobraziłem sobie wtedy, że ten brak był tak wielki, że ludzie musieli odtworzyć przyrodę na nowo przy pomocy swoich własnych przedmiotów. Pamiętam, jak tłumaczyłem komuś: w przyrodzie, gdy roślina jest trująca, ma kolor czerwony. A w mieście mamy czerwone światła, i wszystko co czerwone, w każdym razie jeśli chodzi o ruch drogowy, znaczy, że trzeba się zatrzymać, i że jest niebezpieczeństwo. Miałem wrażenie, że ludzie zastąpili przyrodę swoimi przedmiotami i nawet w swoistym amoku stworzyli fałszywe reprodukcje natury, takie jak plastikowe drzewa, kwiaty w doniczkach i wszystko to, co pani przeczytała: tę wysuszoną, starannie kontrolowaną naturę, jaką mamy w miastach. Gdy patrzemy na pelargonie w doniczce nie mamy wrażenia, że oglądamy przyrodę; mamy wrażenie, że widzimy więźnia, ponieważ można o niej zapomnieć, nie podlać jej. Ludzie czasem wdeptują papierosa w ziemię. Całkowicie brakuje nam szacunku względem roślin. Gdy przeszedłem ten okres w życiu, wyraziłem to, co głęboko odczuwałem – to nie była krytyka; ponieważ brakowało natury, trzeba było wymyślić jakąś inną, drugą naturę. I ta druga natura była wizualna, sensoryczna, to było miasto, które świeci w nocy jak zachód słońca. Ale to nie jest zachód słońca. To tylko neony, światła miejskie, które zapalono, które

świecą na niebie. Wydawałoby się, że słońce zaszło. Więc wymyślamy słońce. Wymyślamy też dźwięki, które mają przemawiać do ucha. Pamiętam, że prowadziłem badania w oparciu o przeczytane przeze mnie książki, w tym jedna była autorstwa Gustave'a Le Bon. Zna go pani?

Tak, jest znany głównie ze swojego dzieła *Psychologia tłumu*.

Tak, stworzył psychologię wrażeń, dźwięków. Mówił w swojej książce, że wielkie imperia kupieckie powinny zainteresować się wrażeniami, spotykanymi w przyrodzie, jak dźwięk rzeki, która płynie, dźwięk wiatru. Można je nałożyć na drzwi lodówki, na drzwi samochodów, na dźwięk, który wydaje mruczący silnik... Można spróbować przenieść dźwięki przyrody do przedmiotów konsumpcyjnych. Analizowałem to w czasie, gdy pisałem *Les Géants* i wzbogaciłem tę powieść o wyniki moich badań. To nie była krytyka, po prostu istota ludzka jest istotą zmysłów, wrażeń. W mieście odczuwa potrzebę łagodnych wrażeń, takich, które napawają radością. I będzie ich szukać w rzeczach związanych ze społeczeństwem, a nie w przyrodzie, ponieważ nie ma tu przyrody. Do tego stopnia, że chyba powstała teraz muzyka, która pomaga żyć, rozbrzmiewająca śpiewem ptaków, dźwiękiem rzeki, dźwiękiem morza... Czasem myślę, że to nieźle. Te utwory są niekiedy bardzo udane. I widzę, że pośród dzwonek w moim telefonie w Chinach mogę wybrać pomiędzy muzyką wody a śpiewem wiosny. W rzeczywistości to tylko dźwięki elektroniczne. Zastanawiałem się, czy zwierzęta rozpoznałyby tę muzykę. Bo zwierzęta są na nią wrażliwe. Nawet rośliny są wrażliwe na muzykę. Ale czy są wrażliwe na dźwięki telefonu? Ponieważ przypominają im wiosnę, tak jak to mogą uczynić, bo ja wiem, na przykład sztuka lub ksylofon. To się chyba nazywa *the world music*. Czasem można ją usłyszeć w taksówkach. Często w Paryżu, w taksówkach prowadzonych przez Chińczyków czy Wietnamczyków, którzy bardzo lubią relaksacyjną muzykę, bo Azjaci bardzo lubią się relaksować. Nie lubią być spięci. A są bardzo spięci z powodu trudności związanych z wykonywanym zawodem. Puszczają więc muzykę elektroniczną, która ich uspokaja. To znaczy, że istnieje potrzeba natury w sztucznym świecie, w drugiej naturze, w naturze ludzkiej, bardziej niż potrzeba natury naturalnej.

Chce pan przez to powiedzieć, że tworzy drugą naturę w swoich dziełach?

Tak. Dostrzegam drugą naturę stworzoną przez sprzedawców przyrody, telewizji, również perfum. Rozpyła się zapachy. To niebywałe. Ostatnio dowiedziałem się, że w Paryżu można kupić spray z zapachem ciepłego chleba, takiego chleba prosto z piekarnika. W piekarniach sprzedaje się chleb zamrożony i rozpyła na nim zapach ciepłego chleba. Przyroda to zapachy, dźwięki, bardzo subtelne wrażenia. To właśnie ich brakuje. Tak więc po okresie, w którym przeżywałem jakiś rodzaj... trudno określić co to było... rodzaj upojenia i jednocześnie trochę cierpienia związanego ze światem miejskim, mieszkałem przez trzy lata w lesie panamskim. Za każdym razem, gdy opuszczałem las – osiem miesięcy przebywałem w lesie, po czym wracałem do miasta – zdawałem sobie sprawę z tego, jak bardzo wszystko źle pachniało poza lasem. Zapachy miasta były okropne. Po trzech czy czterech dniach mój nos się przyzwyczajał i już ich nie czułem. Ale jak wychodziłem z lasu, był bardzo wrażliwy. Te lata spędzone w lesie zachęciły mnie do mówienia o przyrodzie. To dlatego zmieniłem wtedy swój sposób pisania. Zacząłem więcej mówić o roślinach i zwierzętach oraz o wrażeniach, o uczuciach ludzkich, które są bliższe przyrodzie.

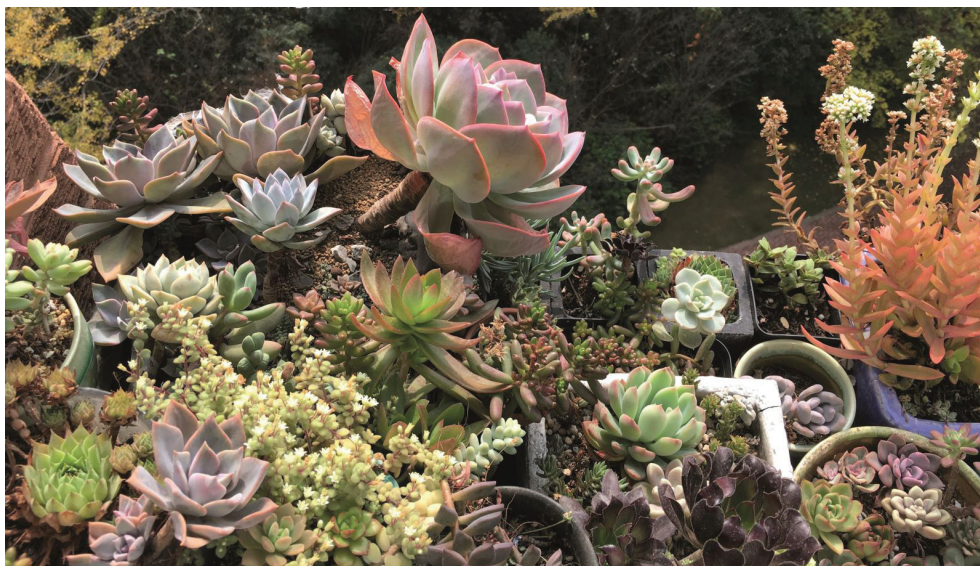


Mariaż róż i klematisów w ogrodzie Lu Zhang
(z archiwum prywatnego autorki wywiadu)

Powstał wielki projekt dotyczący transformacji tkanki miejskiej w Paryżu. Wymyślono budynki z dużą ilością roślin, nawet na ścianach budynków.

Tak, ale to będzie miasto, to ciągle nie będzie las. Bez względu na to, ile szminki położymy na świnkę, ona i tak świnką pozostanie. To słowa Baracka Obamy. Aby zdemaskować kłamstwo, mówił: „bez względu na to, ile szminki położymy na świnkę, ona i tak świnką pozostanie”². Można przebrać miasto... Może to lepsze niż nic. Ale ciągle niewiele. Osobiście bardzo żałuję, że nie ma ogrodów w Paryżu. Uważam, że pozwalanie, by miasto pozostało tak twarde i zwarte zakrawa na przestępstwo. Nawet jeśli chodzi o budynki niedawno powstałe, jak Biblioteka Narodowa, zasadzono tu kilka małych drzewek niczym pelargonie w doniczkach. Wznoszą głowy, aby dojrzeć niebo. Są zamknięte, a te bardziej nieszczęśliwe przyjmują na siebie latające reklamówki, które zawisają potem na gałęziach. Lepiej nie patrzeć na te drzewa. To zbyt smutne.

² Korzystam z tłumaczenia wypowiedzi Baracka Obamy, jakie pojawiło się w artykule Kingi Olszewskiej (2016).



Rozchodniki, rojniki i skalnice w ogródku Lu Zhang
(z archiwum prywatnego autorki wywiadu)

Na szczęście są dwa laski: Buloński i Vincennes

Tak, są laski. Ale znajdują się na obrzeżach Paryża. Szkoda, że nie pomyślano wtedy, by miasto miało harmonijną strukturę. Myślę, że Paryż, tak jak wiele innych miast europejskich, nosi znamię triumfującego uprzemysłowienia. Natomiast w Chinach, gdy nastąpiło przejście od świata wiejskiego do świata współczesnego, zachowano nostalgię do świata wiejskiego i ciągle odczuwa się tu ochotę, by patrzeć na rośliny. Ponadto to dobre dla zdrowia. Myślę, że Chiny są lepiej zurbanizowane. W każdym razie Nankin, Hangzhou. Shanghai jest trochę inny. Być może Pekin też zostanie lepiej zurbanizowany za pomocą nowej natury. No i miasta położone w centrum, w sercu Chin, są na ogół bardzo piękne. Nawet Yangzhou, gdzie byliśmy. Wszystkie te miasta są wspaniałe. Kiedy opowiadam o Nankinie ludziom z Europy, zachęcam, by przyjechali go zobaczyć, jest jak Aix-en-Provence, z tym, że duże. To znaczy, że zachowano tu urok Aix-en-Provence, przyrodę, rośliny, niezbyt wysokie domy. Z tą przewagą nad Aix-en-Provence, że ruch drogowy w Nankinie jest elektryczny. To zaleta tego miasta.

Powróćmy do sposobu, w jaki miasto może stłumić naturę i wyalienować przestrzeń ogrodu, jak w *Villa Aurora* (nowela pochodząca ze zbioru pt. *La Ronde et autres faits divers*): czy pisanie jest według pana środkiem, za pomocą którego można zde-maskować to niebezpieczeństwo?

Tak, właściwie to lubię wierzyć, że z wielką pasją traktuję odczucia, kiedy piszę. Inaczej mówiąc, jestem mniej uważny na odruchy serca niż na odczucia sensoryczne, których doświadczamy codziennie w każdym momencie. Myślę, że uwrażliwiając na to czytelników, zwłaszcza młodych, zachęcam ich być może do tego, by sami zwrócili na to uwagę. Dla mnie samą ideą literatury jest bycie uważnym na wszystko, co się dzieje, niepozostawanie w stanie neutralnym, bycie zawsze uważnym na wszystko. Tak jakby fakt pisania czy czytania

zwiększał możliwości odczuwania, bycia wrażliwym na wszystko, co złe, bardziej wrażliwym na to, co korzystne. I jak powiedzieliśmy, przyroda jest czymś korzystnym. Ale to nie ma nic wspólnego z ochroną środowiska. To dosyć egoistyczne. Raczej jak bycie świadomym. I niewykluczone, że, jeśli każdy będzie świadomy i, jeśli w końcu każda istota ludzka stanie się bardzo świadoma tego, czego doświadcza w każdej chwili swojego życia, to będzie bardziej szanowała środowisko. Ponieważ poruszamy się jak ryby w akwarium, poruszamy się w środowisku. Nawet powietrze jest elementem tego środowiska. Tak więc sędzę, że trzeba być wrażliwym. Literatura, która kultywuje wrażliwość, to znaczy, jeśli umożliwia nam uzmysłowienie sobie..., to ma starą nazwę, nazywa się synestezją. Chodzi o całość wrażeń, które sprawiają, że czujemy się istotami żyjącymi. Kiedy mamy świadomość wszystkiego, co czyni nas żyjącymi, to właśnie to wrażenie, w danym momencie, być może, sprawia, że jesteśmy bliżej świata. I literatura może być środkiem do osiągnięcia tego stanu. Być może też także muzyka i sztuka, jak myślę, w tym uczestniczą.

Często klasyfikowano pana jako pisarza ekologicznego. Tymczasem takie zaszukanie traktował pan z rezerwą, ponieważ pojęcie ekologii, którym początkowo posługiwali się naukowcy, jest szeroko wykorzystywane w świecie polityki. Wypowiedział się pan na ten temat w 1985 roku w rozmowie z Franzem-Olivierem Giesbertem: „ekologia jest raczej uczuciem niż polityką”. Czy dziś byłby pan bardziej skłonny, aby uznać status pisarza ekologicznego? Czy przeszedł pan ewolucję myślową względem tego określenia od czasów swoich pierwszych utworów?

Bardzo podoba mi się idea „pisarza ekologicznego”. Ale nie jestem ekologiem-aktywistą. Nie jestem ekologiem walczącym na co dzień. Kiedy jednak nadchodzi taka potrzeba, jestem gotowy, by coś zrobić. Tak jak na przykład wydarzyło się to już dwa razy. Po raz pierwszy, by chronić pływacza szarego. Homero Aridjis, pewien meksykański pisarz, skontaktował się ze mną. To poeta i dobry pisarz, który zorganizował grupę o nazwie „Grupa Stu”. Jest sto osób w tej grupie, w tym i ja, stu gotowych do ochrony zagrożonych zwierząt przyrody. I tak, w 1995 roku japońska firma Mitsubishi planowała zbudować port w miejscu, gdzie miała być wydobywana sól z pokładów w Kalifornii meksykańskiej. Aby to zrobić, firma Mitsubishi miała zbudować gigantyczny betonowy port, który zupełnie odgrodziłby morze, tak, aby wielkie statki towarowe mogły załadować sól z laguny. A laguny służą jako miejsca porodu pływaczy; ponieważ woda jest tam bardzo słona, unoszą się na wodzie i kiedy małe ciele się urodzi, nie ryzykuje utopieniem. Jak się urodzi, unosi się w tym bardzo słonym i bardzo ciepłym morzu. Chroni go bardzo słone morze i oczywiście mama. Ponadto przy wejściu do portu – odbywa się to co roku w lutym – ojcowie rodzin, pływacze, tworzą żywą blokadę. Ustawiają się tam, aby uniemożliwić wpłynięcie rekinom. A rekiny lubią zjadać młode. Port, który miał zostać wybudowany, wszystko by zniszczył, bo pływacze nie mogłyby już wpłynąć do laguny i nie miałyby już miejsca, by wydać na świat swoje potomstwo. To byłaby śmierć pływaczy. Pływacz szary miał wyginąć z powodu tego wydobycia soli. Pan Aridjis zorganizował ogólnoswiatową kampanię. Wysłano wiadomości do wielu osób na świecie, aby zmobilizować ludzi, aby nie zbudowano tego portu. To był wielki przemysłowy projekt. Miał przynieść wiele pieniędzy Meksykowi. Prezydent Meksyku nie chciał na początku przerwać projektu. Mówił: „Nie, przecież powstaną miejsca pracy” itd. W rzeczywistości nie zapewniłoby to wielu miejsc pracy, ale przyniosłoby wiele pieniędzy Japonii sprzedającej sól. Zorganizowano więc tę akcję. I napisałem wtedy sztukę

teatralną pt. *Pawana* w celu ochrony pływaczy szarych. Oprócz tego wszystkiego, co zostało zrobione, moją sztukę odegrano w Meksyku, prezydent musiał ją widzieć lub musiał o niej słyszeć. I ostatecznie nie zgodził się na budowę Mitsubishi. Dlatego pływacze mogą tam rodzić. Warto tam pojechać, aby je zobaczyć. Nie wiem, czy można tam pływać, ponieważ nie powinno się przeszkadzać im żyć. Ale sądzę, że są miejsca, gdzie można pływać pośród tych zwierząt. Są bardzo spokojne, ponieważ są w tej lagunie chronione. I jak tylko rodzi się młode, mama popycha je ku górze, by mogło oddychać. Jako że woda jest bardzo słona, niewiele wysiłku potrzeba, aby móc oddychać na powierzchni.

Gdy zareagowałem po raz drugi, nie chodziło o to, by bronić przyrodę. Chodziło o ochronę pewnego miejsca, a właściwie pewnego ogrodu. Niedaleko Nicei znajdował się stary austriacki zamek zbudowany przez rodzinę Hohenzollernów. To rodzina niemiecka. Zamek nazwany był zamkiem pokoju. Ta rodzina osiedliła się w Nicei na cyplu otoczonym morzem i stworzyła przepiękny ogród. Można było w nim znaleźć rośliny pochodzące z całego świata, twórcom chodziło o pokazanie innym ludziom, że rośliny dobrze się dogadują, że dobrze im się żyje razem. To był zamek pokoju, ogród pokoju. Dowiedziałem się od kogoś, że planowano zburzyć ten zamek, aby postawić jakieś budynki. Bardzo mnie to zszokowało, bo znałem ten ogród. Był opuszczony. Rodzina Hohenzollernów już tu nie przyjeżdżała. Pozostawiono go samemu sobie, bez szczególnej opieki. Spadkobiercy sprzedali ogród. Deweloperzy mieli zamiar zbudować na jego miejscu małe osiedle. W tamtym czasie znałem kilka osób z telewizji. Powiedziałem, że chciałbym zrobić film, sfilmować ogród tak, aby zapobiec jego zniszczeniu. Miałem już pomysł na muzykę, to miała być muzyka Sibeliusa, *Smutny Walc*. To bardzo ładna muzyka w rytmie walca, która urywa się na parę sekund i wszystko cichnie, po czym walc powraca. Zgodzono się, rozpoczęliśmy prace nad filmem. Potem była przerwa, nadeszły wakacje. Osoby, które miały zorganizować plan filmowy nie przyjeżdżały przez tydzień. I w ciągu tego tygodnia zniszczono zamek i zaczęto dewastować ogród. Moja interwencja była więc nieudana. Niczemu nie posłużyła. Ale byłem tym wszystkim bardzo oburzony, napisałem na ten temat. Temat jest zbliżony do tego, jaki podjąłem w *Villa aurora*, czyli stara posiadłość, która miała w sobie coś magicznego, która niosła przesłanie pokoju, została w krótkim czasie zniszczona, w ciągu tygodnia. Ktoś nakręcił dla mnie, jak wszystko niszczone. Przywieziono jedną maszynę z wielką kulą – pisałem o tym w jednej z moich nowel – i ta kula uderzała w ścianę. Opowiadam o tym, bo podejmuję różne akcje i czasem niczemu to nie służy. Czasem jesteśmy bezsilni. To czyni nas pokornymi. Piszemy, publikujemy książki, ale nie zawsze to czemuś służy. Jednym razem do czegoś się przydaje, innym razem nie.

Pisze pan na końcu *Meksykańskiego snu*: „szacunek dla sił natury, poszukiwanie równowagi między człowiekiem i przyrodą mogłyby stać się koniecznym hamulcem postępu technicznego zachodniego świata”³. Czy łączy pan ekologię z innymi nurtami myśli niezachodniej, takimi jak indiańska koncepcja przyrody czy chińskie spojrzenie na równowagę między człowiekiem a przyrodą?

Zadała pani pytanie o miasta, przestrzeń urbanistyczną. To prawda, że w Chinach coraz większą uwagę przywiązuje się do ogrodu. Dokądkolwiek idę w mieście, to widzę ludzi zajmujących się roślinami. Mają niewiele miejsca na ich uprawę. Zwłaszcza ludzie starsi.

³ Le Clézio 2010: 166.

Ale to też przykład dla młodych. Myślę, że to ciekawa lekcja urbanizmu. Bo miasta europejskie, jak mogła się pani przekonać, poza Londynem, który jest miastem dosyć zielonym, to w większości miasta szare, niewzruszone, o zwartej zabudowie.



Mahalon – *Village Fleuri* (Miasteczko Kwiatów)
Wikimedia Commons

Mamy w Chinach popularną piosenkę na motywach eseju pisarki Sanmao *Każdy ma hektar ziemi w sercu*. To znaczy, że każdy marzy o kawałku ziemi dla siebie.

Tak, Chiny od dawien dawna były krajem rolniczym. Teraz już tak nie jest. Ale to prawda, że jest to znaczące dziedzictwo. Francuzi, którzy najbardziej przypominają Chińczyków, to Bretończycy. Gustują bardzo wyraźnie w roślinach, które im do niczego nie służą. Posiadają pola, gdzie uprawiają kukurydzę, zboże, ziemniaki ale mają też przestrzeń, gdzie uprawiają rośliny ozdobne, pachnące. Tym, w czym naprawdę przypominają Chińczyków,

to jest fakt, że są bardzo starą populacją wiejską. Przynależą do wsi. Gdybyśmy chcieli poszukać dziadków wszystkich Bretończyków, to okazałoby się, że to ludzie, którzy uprawiają ziemię. Odziedziczyli więc nieco z tej cechy.

Tak! Odwiedziłam z moimi francuskimi dziadkami kilka bretońskich wsi. Mają wspaniałe ogrody!

Tak, są bardzo ładne. To ogrody deszczowe. To znaczy ogrody, które potrzebują dużej ilości wody i które są rzeczywiście bardzo ładne.

Największe wrażenie wywarły na mnie hortensje.

Tak, Bretończycy urządają konkurs hortensji. Co roku w sierpniu odbywa się święto hortensji w mieście, które nazywa się Mahalon, i które znajduje się niedaleko miejsca, gdzie mieszkam w Bretanii. Mahalon znaczy po bretońsku „moje serce”. W tym mieście organizowany jest konkurs hortensji. Ludzie przywożą nowe, wyhodowane przez siebie krzyżówki. Posiadają wszelkie cechy hortensji. Krzyżówki robi się z całkiem malutkich kwiatów z wielkich kul we wszystkich kolorach, białe ... są nawet czarne! Tak naprawdę w kolorze bardzo ciemnej purpurowej czerwieni, prawie czarne. Mają też i inne rośliny wspólne z Chinami: kamelię. Proszę sobie wyobrazić, że kamelia jest tą samą odmianą co herbata. Została przywieziona w XIX wieku z Chin i Bretończycy ją zawłaszczyli. Są wszędzie w Bretanii. Tradycyjnie rosną przed domami. Dzięki temu, że kamelia kwitnie zimą a hortensja latem, można zobaczyć niebieską hortensję latem i czerwoną kamelię zimą.

Mówił pan przed chwilą o pięknych chińskich miastach. Ma pan rację, miasto Yangzhou jest naprawdę jak ogród.

I miasto Hangzhou również. I Suzhou.

W mieście mamy zawsze jakieś jezioro lub rzeki.

Myślę, że chodzi o coś, co składa się na chińską mentalność – o równowagę.

Tak, bardzo potrzebujemy równowagi. Ponieważ bardzo ważna jest dla nas praktyka feng shui. To znaczy, że potrzebny jest wiatr, woda, ale również góry.

Teraz w Stanach panuje w pewnym sensie moda na feng shui. Ale w tej praktyce jest jakiś element magiczny. Nie jestem pewien, co to dokładnie jest. Ale tak naprawdę, to podstawa. Chodzi bowiem o to, by zwracać uwagę na wodę, na kierunek wiatru. I znowu nawiążę do Bretanii. To fakt, że jak ludzie budują tam domy, to na początku najważniejsze jest dla nich to, by wiedzieć, gdzie znajduje się woda, tak, aby na niej nie budować. Ponieważ jeśli budujemy na wodzie, nasze stopy będą zamoczone. Mają tam przyrząd, który wykonany jest z gałęzi leszczyny. Taka różdżka, w kształcie litery Y. Chwyta się ją za ramiona Y i w przypadku, gdy jest woda, kijek opada. To magia. Kiedy ja tego próbowałam, nic się działo, ale kiedy to Jemia spróbowała, zadziało. Była w stanie odczuć feng shui, a przynajmniej shui! Ona wyczuwa wodę. I to prawda, że jak bierzemy pod uwagę kierunek wiatru, tak, by nie pozwolić mu przewiać domu, świadczy to również o podejściu praktycznym. To unikanie wilgoci i wystawiania się na wiatr. Myślę, że w Chinach jest w tym może element magiczny, ale takie podejście wydaje mi się też racjonalne. Jemia bardzo w to wierzy, ponieważ kiedy decyduje o ustawieniu mebli w pomieszczeniu, nigdy nie ustawia ich w pewnym



Nankin, Chiny
(z archiwum prywatnego Lu Zhang)

kierunku, zmienia kierunki. Szuka najlepszego ustawienia dla łóżka, stołu, krzesła, tak aby znajdowały się w jak najlepszym kierunku. A ponieważ nie może zmienić ustawienia ścian, to zmienia umeblowanie. Sądzę, że lepiej czuje przestrzeń niż ja.

Odpowiadając na pytanie pewnej chińskiej dziennikarki powiedział pan, że humanizm nie ma sensu, jeśli nie jest praktyką. Czy praktyka ekologii powinna być więc konieczną zasadą działania? W artykułach prasowych⁴ złożył pan doniesienia o niszczycielskich budowach wielkich zachodnich przedsiębiorstw, które unicestwiłyby święte miejsca tubylców lub środowisko naturalne. Jak pojmuje pan rolę pisarza wobec zagrożeń środowiskowych? Jakie sprawy są panu najbliższe?

Myszę, że to jest coś, o czym trzeba powiedzieć, ponieważ tak samo, jak ruchom ekologicznym, które są ruchami politycznymi, nie udaje się zrealizować zadań, sądzą, że tak samo humanizm, który byłby tylko i wyłącznie oparty na książkach, lekturze, literaturze pięknej, nawet na sztukach nie wystarczyłby. Potrzebna jest też praktyka. To znaczy, że każdy na swój skromny sposób powinien brać w tym udział ze swoimi własnymi ogródkami, tak

⁴ Przypis autorki wywiadu: J.M.G. Le Clézio, „Un projet monstrueux”, *Le Monde*, 12.05.1987; „Sauver les baleines grises de Californie”, *Le Monde*, 8.04.1995, 15; „Pour en finir avec le colonialisme nucléaire”, *Le Monde*, 4.10.1995; „155 écrivains dénoncent à leur tour les lois sur l’immigration”, *Le Monde*, 14.02.1997, 8; „Pour une littérature-monde en français”, *Le Monde des livres*, 16.03.2007, 2; „Quel avenir pour la Romaine?”, *Le Monde*, 1.07.2009; „Il faut sauver les Indiens Huichols”, *Le Point*, 20.01.2012; (z Jean-Patrick Razon) „Un projet de GDF-Suez met en danger les dernières tribus isolées d’Amazonie”, *Le Monde*, 7.04.2010. Zob. też: Pamela Edouard, „De la lettre de Le Clézio à Obama”, *L’Express*, 18.12.2009.

jak to czyni pani lub Jemia. Po prostu sędzę, że w świecie współczesnym i dosyć uprzemysłowionym, jak ten, w którym aktualnie żyjemy, ważne jest, by istniały osoby wrażliwe jak pani, jak Jemia, które uprawiają pewien rodzaj pokojowego oporu wobec tego, co się dzieje, ponieważ krzyki, obnoszenie się z plakatami na niewiele się zda. Każdy powinien działać w ten sposób. To trochę jak *praxis* w filozofii. Jeśli wyznaje się filozofię opartą na dialektyce i nie praktykuje się tej dialektyki w życiu, to znaczy, że nie jest się dopuszczanym do głosu lub zajęcia stanowiska. Taka filozofia staje się bezwartościowa. Na nieszczęście mamy w Europie, we Francji, wielu profesjonalnych filozofów, którzy pojawiają się w telewizji, składają deklaracje, ale niewiele robią. Nie świecą przykładem, a nawet często są obiektem szyderstw i kpin. Ma się wrażenie, że są niczym strachy na wróble, marionetki.

Należę do grupy, która nazywa się „Survival”. Nazwa jest w języku angielskim i oznacza przetrwanie. Patronat nad grupą sprawują antropolodzy i akademicy. Mają stronę internetową – niegdyś mieli gazetę, teraz tylko stronę internetową – na której informują o wszelkich zamachach na populacje mniejszościowe na świecie, kiedy zagrażają im przemysłowcy. Na przykład przypuśćmy, że budowa tamy Trzech Przełomów może zagrozić jakiejś populacji – mniejszościom, które mieszkają w okolicach zapory – członkowie tej grupy poinformowaliby o tym. Tak, aby rząd mógł przedsięwziąć środki w celu zapobieżenia zbyt dużym szkodom. To przede wszystkim zapory sprawiają tego typu problemy. I w tym zakresie miała miejsce akcja we współpracy z grupą „Survival”. Chodziło o akcję w sprawie zapory na rzece Romaine, która znajduje się w Kanadzie. Firma Hydro-Québec jest koncernem międzynarodowym, zaplanowała budowę zapory większej od tamy Trzech Przełomów, o wysokości 600 metrów, która całkowicie zablokowałaby bieg Romaine. Nazywa się Romaine (dosł. Rzymska), ale nie ma nic wspólnego z Rzymem. To słowo indiańskie, które było źle wymawiane. Jest jedną z rzek, która płynie z północnej Kanady i która uchodzi do rzeki Świętego Wawrzyńca, do Zatoki Świętego Wawrzyńca. Wzdłuż tej rzeki mieszkają autochtoni, którzy z niej żyją z polowu, z myślistwa, ze zbierania roślin leczniczych, jadalnych. Nazywają się Innu. Skontaktowała się ze mną poetka Rita Mestokosho, która wydała zbiór bardzo ładnych wierszy dedykowanych swojej babci. Napisany jest w języku francuskim i innu-aimun. Skontaktowała się ze mną w momencie, gdy firma Hydro-Québec zainicjowała swój projekt. Ponieważ chodzi o wielki międzynarodowy koncern, autorzy projektu postępowali wyjątkowo ostrożnie, aby nie narazić się kanadyjskim mniejszościom. To trochę jak w Chinach, gdzie mniejszości są chronione. Spotkali się więc z reprezentantami około stutysięcznej społeczności, w celu podpisania dokumentów, w których wyrażaliby swoją zgodę w zamian za pieniądze, za obietnicę rekompensaty za ziemie, które mieli utracić. Dzieląc więc całą społeczność na małe grupy, udało im się w efekcie uzbierać wystarczająco dużo ludzi, którzy się zgodzili, tak, aby adwersarze pozostali w mniejszości. Projekt był w trakcie realizacji. W tym czasie opublikowałem artykuł w „Le Monde” wraz ze zdjęciem rzeki Romaine w aktualnym stanie. Widać tam piękną rzekę z czystą wodą, która miała zniknąć. Tego miejsca nie zobaczylibyśmy więcej, zostałoby unicestwione. Bo to nie tak jak w Trzech Przełomach, gdzie były ograniczenia. Budowano tam zapory, a woda mogła się podnieść tylko do krawędzi wąwozu. Podczas gdy tu zaplanowano budowę tamy wysokiej na 600 metrów i szerokiej na kilkadziesiąt kilometrów. W ten sposób mogła zostać zalana cała okolica. To byłaby katastrofa ekologiczna, bo zatopiona roślinność zgniłaby, tak jak zatopione zwierzęta. W wyniku tego wytworzyłby się metan, który udusiłby cały region.

Otrzymało zgodę większości mieszkańców, ale nie spytano zwierząt ani roślin.

Ani zwierząt, ani roślin, to właśnie mówiła Rita. Mówiła też, że należy zapytać zasoby naturalne. Należy zapytać lososie żyjące w rzece. Należy zapytać nawet kamienie. Napisała o tym bardzo ładne wiersze. Projekt został przerwany i ponownie do niego wrócono dzieląc zaporę. Zamiast zrobić zaporę, która wszystko by zatopiła, zwiększono ilość małych zapór. To mniejsze zło, ale i tak były powodzie i stracone miejsca. To przykład na to, że można działać w konkretny sposób. Darzę sympatią zarówno tę poetkę, jak i to co pisze. To prawda, że gdybym tam mieszkał, strach byłoby pomyśleć, że ta kraina zniknie. Miejscowi nie skorzstają nawet z elektryczności, która jest przeznaczona dla Nowego Jorku. Kanada z niej nie korzysta, prąd, poprzez kraj, zostanie dostarczony do Nowego Jorku, gdzie go potrzebują. Argumentem jest to, że chodzi o czystą energię elektryczną, to znaczy o taką, która nie powstaje z ropy i węgla, ale z wody. Woda jednak nie jest czysta, gdy topi kraj – to był problem. Pamiętam, że w momencie, gdy chodziło o Trzy Przełomy, też o tym mówiono: „Wyprodukuje się ekologiczną energię elektryczną, ale jednocześnie wiele stref rzecznych zostanie zniszczonych”. Nie wiem, co z tego wyniknęło. Płynąłem statkiem, rozmawiałem z ludźmi. Bardzo żałują swoich wiosek, które teraz znajdują się pod wodą. Żałują, ponieważ mieszkają w bardziej nowoczesnych wioskach, a byli to ludzie starsi. Młodzi zgadzają się, aby mieszkać w miejscu bardziej nowoczesnym. Tak właściwie to, czego najbardziej żałują, to pamięci o wojnie. Bo były tam miejsca, gdzie odbywały się bardzo burzliwe walki z Japończykami. Były tam miejsca pamięci ich walki opozycyjnej. I zostało to zalane. Aby je zwiedzić, trzeba teraz nurkować (*śmiech*). Być może wszystko lepiej zakonserwuje się pod wodą niż na wolnym powietrzu. To niewykłuczone.

Podczas programu „La grande librairie 10 kwietnia 2014 roku” spotkał się pan z Pierrem Rabhim, autorem takich publikacji jak *Zwrócić ziemię, Manifest dla Ziemi i Humanizmu – Dla powstania świadomości i Ku szczęśliwej wstrzemięźliwości*. Wymienił się pan doświadczeniami życia wśród Indian z Pierrem Rabhim, poetą, który żyje blisko ziemi, odróżniającym się od innych ekologów o podejściu bardziej teoretycznym. W swych przesłaniach ekologicznych i humanistycznych Pierre Rabhi proponuje zmienić działania: szanować ziemię jako planetę, której zawdzięczamy życie, i wspierać nadejście wszechświatowego humanizmu – jednocześnie traktując historię ludzkości jako pewien fenomen. Wyraził pan swój podziw dla ekologii Rabhiego jako sposobu na życie. Co pana szczególnie inspiruje w jego działaniach?

Z jednym zastrzeżeniem. Powiedziałem, że podziwiam, ale sam nie byłbym w stanie tak żyć. Pan Rabhi jest mniej więcej w moim wieku. To bardzo silny mężczyzna, bardzo krzepki. Pochodzi z Algierii. To nomada algierski, który przeniósł się do Francji niedługo po wojnie algierskiej. Początkowo walczył w partii komunistycznej. Następnie został ekologiem. To bardzo hardy człowiek. Widać, że przyzwyczajony jest do pracy fizycznej. Natomiast ja nie jestem przyzwyczajony. Gdybym miał uprawiać ziemię, byłoby to dla mnie bardzo trudne. Zwłaszcza w moim wieku, nie umiałbym tego robić. Ograniczeniem jest wykształcenie. On kształcił się w tym kierunku, ja nie, nie potrafiłbym pracować tak jak on. Wielu jest ludzi podobnych do mnie, którzy nie otrzymali wykształcenia rolniczego i którym byłoby ciężko. Sądzę, że pani tata dobrze wie, o czym mówię. Opowiadał mi, że podczas rewolucji kulturalnej wielu intelektualistom kazano uczyć się uprawy ziemi. On tak zrobił. Inni bardzo cierpieli, ale nie on, ponieważ był przyzwyczajony do takiej pracy. To jest

więc kwestia wykształcenia. Jeśli brakuje wiedzy na temat uprawy, mogą pojawić się wielkie trudności. Rabhi jest wyjątkowym przykładem, ponieważ to człowiek odważny, który sam potrafi zrobić wszystko, czego potrzebuje. Nic nie kupuje. Poza starym samochodem. Nie kupił go, nie wyprodukował też benzyny, którą do niego wlewa. Poza tym środkiem transportu, wszystko, co znajduje się w domu, który zresztą sam zbudował, wszystkie elementy wyposażenia, które znajdują się w środku, są naturalne. Korzysta z energii elektrycznej, ale pochodzącej z wiatraka lub słońca. Ogniwa fotowoltaiczne nie są zbudowane przez niego, ale bardzo łatwo jest otrzymać ciepłą wodę: wystarczy wystawiona na słońce rura przewodząca wodę. Prostota jego działań jest uderzająca. Nie komplikuje sobie życia. Idzie prosto do celu. Nikt nie robi na nim wrażenia. Kiedy zwraca się do ludzi, do wszystkich mówi na „ty”. Nie ma powodu, aby używać zwrotów formalnych, więc wszystkich nazywa po imieniu. Może się spotkać z prezydentem, z kimkolwiek, a i tak będzie się do niego zwracał na „ty”, bezpośrednio, nie ma problemu z hierarchią. To wyjątkowy człowiek. Przypomina mi ludzi, których spotkałem w świecie Indian, zwłaszcza w lesie. Ludzi, którzy potrafią żyć z pracy własnych rąk, którzy niczego nie potrzebują i są w stanie przetrwać w jakiegokolwiek sytuacji, posiadających siłę fizyczną, siłę charakteru, i których cechuje pewna prostota oraz bezpośredniość. Idą prosto do zamierzonego celu. Ta prostota dotyczy również moralności. Bardzo podziwiam tego typu osoby. Przyznaję też, że czuję się od nich słabszy, bo nie potrafiłbym przetrwać. Nie jestem kimś komplikującym sobie życie, jednak nie potrafię przeżyć wykorzystując pracę moich rąk. Miałem pomysł, aby odwiedzić z pani tatą jego rodzinne strony, ponieważ jestem ogromnie ciekaw tego, jak żył i jak żyją jeszcze niektórzy w środowisku wiejskim. Żałuję tylko, że jest ono biedne. Nie zasługuje na to. Kiedy pracuje się w ziemi, powinno się mieć taką samą zdolność ekonomiczną. Czyli na przykład, jeśli potrzebny jest lekarz, to powinien być dostępny, tak jak w miastach.

Jaki jest według pana najlepszy sposób „zamieszkiwania ziemi”? Czy literatura może odegrać jakąś rolę w tym stosunku do ziemi?

To bardzo przypomina pytanie, które pani zadała na temat tego, czym jest literatura. Ale ja lubię myśleć, że literatura jest bardziej sposobem na wyrażenie się, aniżeli sposobem na życie, prostą, nieskomplikowaną formą tożsamości. Nie wymaga ukończenia studiów. Nie wymaga wiedzy na temat wielu rzeczy. Ważne jest, by pozostać uważnym, być w zgodzie z otaczającym nas światem. Myślę, że literatura wiele zawdzięcza ziemi. Żywi się nią. To jeden z wytworów ziemi w takim samym stopniu w jakim są rośliny, zwierzęta czy woda i niebo.

Bibliografia

- Le Clézio, Jean-Marie Gustave 2010. *Meksykański sen albo przerwana myśl indiańskiej Ameryki*. Tłum. Zofia Kozimor. Warszawa: PIW.
- Olszewska, Kinga 2016. „RZECZozBIZNESIE: Zbigniew Lazar: Zmiana wizerunku nie zmieni reputacji firmy”. *Rzeczpospolita*, wyd. z dn. 19.05.2016. On-line: <https://www.rp.pl/>.